Tybet: tam, gdzie nigdy nie byłem – 2

29 kwietnia 2009

Jestem z Delhi i na początku w ogóle nie miałam ochoty, żeby się pojawiać w takiej wiosce jak Dharamsala – mówi Deckyi Ratutsang i śmieje się głośno. – Myślałam: tutaj naprawdę nic nie ma! Ani porządnego kina, ani znajomych… Tylko te góry, klasztor, lamowie i turyści. Ciekawsze rzeczy dzieją się w Delhi.

Deckyi jest przed trzydziestką, nosi koszulkę z napisem „Free Tibet", ciągle się uśmiecha, gestykuluje i zamawia herbatę za herbatą. Na jej kolorowy telefon ze zdartymi klawiszami co chwilę przychodzą SMSy.

W Polsce Deckyi byłaby pewnie menedżerką w agencji PR albo biurze turystycznym, lubiłaby gadżety i jeździła na narty. Mogłoby jej smakować sushi. Tymczasem siedzimy w mikroskopijnej restauracji przy głównym placu w Dharamsali, Deckyi z przepastnej torby wyciąga broszury tybetańskie. Za oknem tłumek turystów miesza się z lamami w bordowych szatach.

– Szczerze mówiąc, do niedawna nawet nie bardzo cokolwiek wiedziałam o walce o wolność Tybetu… Wiesz, w domu się dużo o tym mówiło, mój ojciec jest bardzo zaangażowany, ale ja sama raczej byłam zainteresowana innymi rzeczami na studiach – mówi i puszcza oko.

– Innymi?

– No wiesz, znajomi, imprezy. Kino. Uwielbiam kino! No i praca. Skończyłam przecież turystykę, pracowałam w biurze podróży i byłam naprawdę zadowolona. Te rzeczy. Do momentu jak nie dopadło mnie to, co prędzej czy później dotrze do każdego Tybetańczyka na uchodźstwie.

– Czyli co?

– Zadzwonili do mnie z Tibetan Women’s Association i poprosili, żebym dla nich pracowała – mówi.

Stowarzyszenie to najważniejsza tybetańska organizacja kobiet na uchodźstwie: organizuje projekty edukacyjne, pomoc dla starszych w potrzebie, festiwale kulturalne. Deckyi urodziła się już na uchodźstwie, w rodzinie jednego z zasłużonych tybetańskich działaczy. Tak jak wszystkie tybetańskie dzieciaki chodziła do specjalnej szkoły prowadzonej przez Tibetan Children’s Village, uczyła się tybetańskiego, potem kończyła liceum na prowincji.

– Przeniosłam się do Delhi i myślałam, że będę mieć życie jak wszystkie moje indyjskie znajome. Ale jestem Tybetanką, a Tybetańczycy mają inne życie – opowiada Deckyi.

– To znaczy jakie?

– Takie, które widzisz przez pryzmat Tybetu. Wyjaśnię ci na przykładzie: masa organizacji z Europy się z nami kontaktuje, również kobiecych. Często pytają, czy jesteśmy feministkami. To nieporozumienie.

– Nie jesteście?

– Nam zupełnie nie o to chodzi! Jesteśmy zajęte czymś innym, walczymy o Tybet. Jak już go wywalczymy, to będzie się można zastanowić kim być: feministką, szowinistą czy przeciętniakiem. Ale najpierw musimy mieć prawo być Tybetańczykami. Na razie nie mamy luksusu innych wyborów – mówi trzydziestolatka, która zrezygnowała z życia w stolicy.

– Kiedy podjęłam decyzję o przeprowadzce, moi znajomi mówili: uciekniesz po tygodniu. Jak przyjechali mnie odwiedzić, autobusem jest kilkanaście godzin, to byli zaskoczeni że tak długo wysiedziałam w Dharamsali. To prawda, to miasteczko jest malutkie, nie ma imprez. Ale jestem teraz w dobrym wieku, żeby

coś zrobić dla mojego kraju. No, może przydałoby mi się trochę więcej pieniędzy. Może nowa komórka… Kiedyś miałam każdą najnowszą, ale to były dawne czasy. Rzeczy są dziś mniej ważne.

– Nie tęsknisz za Delhi?

– Nie. Ono było inne, może do niego wrócę, ale bardziej świadoma. Kiedy zaczynałam, nie bardzo chciałam wyjeżdżać do Dharamsali. Znajdowałam wykręty, wymówki. – Nie znam się na tym, nie potrafię – mówiłam, jak dziewczyny mnie namawiały na działanie w ruchu. Ale one były uparte! Dopiero za trzecim razem się zgodziłam. Dostałam broszury, książki. Czytałam. I dopiero wtedy zdałam sobie naprawdę sprawę z tego, kim jestem.

– Kim?

– Kobietą, która ma wielki obowiązek. I musi pomóc w walce o swój naród. To przychodzi nagle, jak coś oczywistego. Pracowałam wtedy nad jakimś projektem, rozmawiałam z dziewczynami, które przyszły z Tybetu przez góry. One opowiadały, jak było, ile musiały przejść, jak było ciężko tam, w Tybecie… I wtedy do mnie dotarło. Zrozumiałam, że kiedy one tak szły, ja siedziałam w Delhi. I że nie mogę tego tak po prostu dalej robić. Muszę działać!

W przypadku Deckyi działanie to praca po kilkanaście godzin dziennie, bo Stowarzyszenie zawsze ma więcej pomysłów, niż ludzi do pracy. Pokazuje trzy puszki Red Bulla w torbie i uśmiecha się: czasami trzy dziennie jej nie wystarczają.

– Najważniejsza jest walka o język. Bez tego Tybet zginie. Dlatego organizujemy festiwale, pokazy kulturalne. Przez to pokazujemy, że się nie boimy. Trzeba pokazać Chinom, że nie jesteśmy zastraszeni. Ja sama? Oczywiście mówię po tybetańsku, ale z pisaniem mam już kłopoty. W tym czasie kiedy się uczyłam, szkoły nie były tak dobrze rozwinięte. Nie pisaliśmy po tybetańsku, kiedy byłam dzieckiem.
Dzień aktywisty tybetańskiego w Dharamsali wygląda podobnie do

dnia pracownika organizacji pozarządowej w Polsce. Deckyi przychodzi rano do biura, czyta pocztę, zaczyna dzwonić, organizować, spotykać się, ustalać budżety, odpisywać na maile, potem załatwia materiały na demonstracje…

Tyle, że żaden pracownik trzeciego sektora w Polsce nie nasłuchuje wiadomości w lokalnym radiu o aresztowaniach i torturach znajomych.

– Początek to była makabra. Wcześniej nigdy nie byłam aktywistką, nie ciągnęło mnie to zupełnie. Chodziłam oczywiście na demonstracje, jak każdy Tybetańczyk, ale raczej jako widz, a nie uczestnik… A tutaj mam organizować strajk głodowy, seminaria, i jeszcze we wszystko wierzyć! Ale przyzwyczaiłam się szybko. Poza tym, to honor, pracować dla narodu.

– Wierzysz w wolny Tybet?

– Hmmm… Wierzę w powrót do Tybetu. Trochę to skomplikowane. Wiem, co robią Chińczycy, wiem jak są bezlitośni i jak trudno żyć naszym braciom w Tybecie. Ale szanuję Jego Świątobliwość i jego wytyczne. Myślę, że Droga Środka jest słuszna.

– Czyli trzeba rozmawiać z Chinami?

– Trzeba negocjować, bo przemoc donikąd nie prowadzi. Chociaż moi znajomi często myślą zupełnie inaczej. Jestem bardzo dumna z tego, że podążam za Jego Świątobliwością. I mam nadzieję, że wrócimy do Tybetu. Bo Indie są piękne, ale cokolwiek tu mamy, nie jest nasze. Szkoły, klasztory, domy – to wszystko indyjskie. Mam wielu wspaniałych przyjaciół z Indii, ale różnimy się. Oni mają swój kraj, swoją flagę, hymn. Ja mam tylko to co tutaj. I Tybet, tam daleko.
– Wiesz, mówią o nas że jesteśmy takim straconym pokoleniem, które nie szanuje Dalajlamy, tylko patrzy jakby się tutaj najlepiej ustawić. Ja mam sporo znajomych w Delhi, sporo w innych miastach. Wszyscy Tybetańczycy tam sobie układają życie, ale jak trzeba, natychmiast wszystko rzucą i przyjadą

pomagać. Pamiętają, że chodzi im o to, żeby wrócić do kraju. Mimo tego, że żaden z moich znajomych nie widział Tybetu na własne oczy. Ja próbowałam pojechać, ale Chińczycy nie dali mi wizy. Co nas tak pcha do działania? Może rodzice. Może poczucie obowiązku. A może to jest w nas i wiemy, że jeśli nie my, to nikt nie będzie zainteresowany tym co się dzieje na końcu świata?

* * *

– Czy to nie upokarzające? Zobacz, tak wygląda mój dokument w moim nowym kraju – mówi Phuchung i wyciąga z kieszeni niewielką, pomiętą zieloną kartę ze zdjęciem. To dowód osobisty, który trzeba co roku odnawiać. Siedzimy na tarasie jednej z kilkudziesięciu knajpek w Dharamsali. Phuchung ma przy sobie plecak, właśnie wraca od znajomego, który mieszka w klasztorze, do domu. Czeka go kilkanaście godzin w autobusie. Ale na razie smagły, przeciętnie ubrany trzydziestolatek pije herbatę i patrzy w dal. W Polsce mógłby być nauczycielem angielskiego, a w wolnych chwilach prowadzić swojego bloga z tłumaczeniami. I w Indiach uczy angielskiego.

– Jesteśmy tu gośćmi. Tylko gośćmi. To znaczy, że co roku trzeba starać się o nową kartę pobytu. Każdy Tybetańczyk taką ma, i to jest jedyny dowód na jego istnienie. Na rok. Słyszałem, że kiedy chcemy wyjechać za granicę, nie mamy paszportu, tylko specjalne zaświadczenie.

Phuchung, w odróżnieniu od swoich znajomych, urodził się w Tybecie. Do Indii trafił, gdy miał czternaście lat. Przeszedł z braćmi przez Himalaje, i nie chce o tym mówić.

– Maszerowaliśmy w nocy, bo w dzień to było zbyt ryzykowane. Mieliśmy szczęście, nasi przewodnicy znali drogę bardzo dobrze. Trafiliśmy tutaj jak wszyscy: najpierw do szkoły, potem do liceum… Potem studia. Jak wszyscy. Nie znałem hindi, znałem chiński. Nie znałem angielskiego, znałem tybetański, ale inny dialekt niż ten, którym mówiło się w szkole. To nie

było łatwe.

Phuchung jest w Indiach już piętnaście lat.

– Indie nas chcą, bo Dalajlama przyciąga turystów. Chcą nas, ale nie jesteśmy u siebie. Ja najbardziej na świecie chciałbym wrócić do Tybetu.

– Do wolnego Tybetu?

– Najlepiej tak, do wolnego. Ale nie wiem, czy to będzie możliwe… Tak naprawdę to chciałbym wrócić do Tybetu, żeby zobaczyć się z moją mamą przed śmiercią. Nie wiem, czy wtedy już będzie wolny. Ona ma już niemal siedemdziesiąt lat. Z ojcem nie zdążyłem się zobaczyć zanim umarł. Tutaj nie mam żadnych krewnych, domu. Mieszkam w szkole, w której uczę. To nie jest złe życie, ale chciałbym odwiedzić rodzinę w Tybecie.

Phuchung nie myśli na razie o walce. Tłumaczy, że starcie z Chińczykami mogłoby się skończyć tragicznie.

– Oni są potężni i brutalni. Pamiętam to dobrze, mają naprawdę mocna armię. I mają pieniądze, którymi próbują kupować naszych.

– Chińczycy mówią, że Tybet to część Chin. To kłamstwo, nigdy tak nie było. To nieprawda. Dla mnie najważniejsze jest to, co mówi dzisiaj Jego Świątobliwość: że tylko dialog jest drogą do porozumienia. Jego Świątobliwość jest dla mnie najważniejszy, co on powie, jest dla mnie święte. Kiedy szedłem do Indii, opuszczałem dom, najbardziej chciałem zobaczyć właśnie Jego Świątobliwość. Szedłem prosto do boga. Tylko nie wiedziałem, że tak trudno będzie wrócić. – mówi Phuchung cicho i odwraca głowę, a jego oczy wilgotnieją.

– Nie sądzę, żeby Kongres Młodzieży Tybetańskiej powinien walczyć zbrojnie. Żeby zrobić powstanie. Zobacz, co się dzieje, kiedy wybuchają powstania, ile ludzi ginie w demonstracjach. U mnie na wsi, wszyscy się bali Chińczyków.

Kongres ma swoje slogany, swoje idee. Ale ja wiem, jak wyglądają Chińczycy i nie sądzę, żeby każda metoda walki była dobra. Musimy szanować Jego Świątobliwość i nasz rząd. Wierzyć i prosić o zagranicę o pomoc. Tylko to nam zostało.

– A jeśli nie uda się wrócić do Tybetu?

– Musi się udać.

– A jeśli jednak?

– To wtedy chciałbym wyjechać. Zacząć nowe życie, w Kanadzie, w USA. Tam są duże kolonie tybetańskie, jest szansa na lepsze życie. Teraz chcę dokończyć studia, zdobyć licencjat.

– A co z walką o Tybet?

– Czekamy na pomoc. Samo współczucie nam nie wystarczy – musi być jakieś działanie ze strony rządów za granicą. W przeciwnym wypadku nic się nie zmieni. Widzę, że po ostatnim powstaniu świat zaczął się orientować, jakie naprawdę są Chiny – że są dwulicowe, fałszywe. Ale to nie wystarczy. Jeśli świat więcej nie zrobi – będziemy cierpieć. Sami nie damy rady. Jest nas za mało. Ale nie tego się najbardziej obawiam.

Najgorszy jest mój sen o przyszłości. Boję się, że się spełni. Widzę w nim dzieci, które biegają naokoło mnie. To muszą być moje dzieci, bo krzyczą: Tato! Tato, opowiedz mi o Tybecie! Jak tam jest? Są wysokie góry? Jest zimno?

A ja nie potrafię im nic powiedzieć, bo już nic nie pamiętam. Wszystko zapomniałem.

Wtedy się budzę przerażony.

* * *

Bardzo dziękuję Natalii Bloch za pomoc w dotarciu do bohaterów reportażu. Wiersz Tenzina Tsundue „Moja Tybetańskość” w przekładzie Stefana Baranowskiego i Marcina Barskiego,

pochodzi z tomika „Kora”, wydanego w wydawnictwie vis-a-vis w Krakowie.

I jeszcze, na koniec:

„Moja Tybetańskość”

Trzydzieści dziewięć lat na uchodźstwie.
Nie wspiera nas żaden naród.
Żaden przeklęty naród!

Jesteśmy uchodźcami.
Ludem utraconej ziemi
Obywatele bez narodu

Tybetańczycy: zasoby światowego współczucia.
Pogodni mnisi i radośni tradycjonaliści;
sto kilkadziesiąt tysięcy rozproszonych,
zasymilowanych i przesiąkniętych
mnóstwem hegemonii kulturowych

W każdym urzędzie i na każdym posterunku
jestem „Indusem pochodzenia tybetańskiego”.
Dokument tożsamości
odnawiam co roku z hinduskim salaam.
Cudzoziemiec urodzony w Indiach.
Byłbym całkiem Indusem,
Gdyby nie moja twarz żółtka z Tybetu

Jestem Tybetańczykiem.
Ale nie jestem z Tybetu.
Nigdy tam nie byłem.
Choć marzę, by tam umrzeć.

Autor: Maciej Kuźmicz
Źródło: Świat Inaczej